

A CZAS JAK RZEKA, JAK RZEKA PŁYNIE.....

Swoje wspomnienia rozpocznę słowami właśnie tej piosenki śpiewanej przez niezapomnianego Czesława Niemena.

Nie chce się wierzyć, że minęło aż tyle czasu od pierwszego wyjazdu w Góry Sowie przed 20-tu laty. Bazą wypadową było schronisko „Zygmuntówka”. Mam duży sentyment do tego miejsca.

Wszystkie wyprawy i wędrowki górskie upływały w cudownej atmosferze, łącząc naszą grupę wypadową coraz większą przyjaźnią.

Przez te wszystkie lata uczestnicy wypraw się zmieniali lecz karda pozostawała zawsze ta sama. No i oczywiście ten sam „Kierowniczek” przewodnik i pomysłodawca wszystkich wypraw. Zaszczepił w nas fascynację górami, prowadząc uczestników nie zawsze łatwymi szlakami bez względu na pogodę. Czasami przez te Jego „pętelki” ogarniała nas wściekłość, ale rekompensatą za wylane poty i bolące stopy, były piękne widoki pasm górskich, często w jesiennych barwach.

W ostatnim dziesięcioleciu sporadycznie brałam udział w wędrowkach górskich, szczególnie utkwił mi w pamięci jubileuszowy wyjazd - 2004 roku w Góry Sowie / podsumowanie wszystkich rajdów/.

Przyjechaliśmy późnym wieczorem. Pogoda nieciekawa, zimno, mokro i mglisto. Doznałam stresu, gdy Marek Mikołajczyk postanowił w tych trudnych warunkach - egipskie ciemności - zjechać campem do „Zygmuntówki” po stromym, kamienistym zboczu.

Samochód osuwał się po kamieniach. kołysząc się we wszystkie strony - miałam wrażenie, że za moment się przewróci i runie w dół.

Gdy następnego dnia zobaczyliśmy stok po którym zjechał, było wiadomo, że już tą drogą nie wyjedzie - zbyt trudne i wręcz niemożliwe.

Wyjazd z „Zygmuntówki” też nie był najlepszy. Padający nieustannie deszcz spowodował, że ścieżka prowadząca w dół na parking przy „Bukowej Chacie” była bardzo błotnista. Po raz kolejny się denerwowałam, gdy Marek przy zjeżdżaniu wpadał w poślizg.

Skończyło się wszystko szczęśliwie.

To była chyba ostatnia wyprawa górską, w której Marek uczestniczył. Nie ma go wśród nas, nie ma również Piotra Dahlke, wspaniałych, cieszących się życiem naszych przyjaciół. Lecz są zawsze z nami we wspomnieniach i wędrują gdzieś tam wysoko swoimi drogami, patrząc na nas z góry jak „Kierowniczek” karze nam robić dodatkową „pętelkę” w podejściu, mimo, że opadamy z sił.

Trochę się rozkleiłam, ale musiałam powspominać i tych, których już nie ma.

A przed nami następne wyprawy, dopóki będzie zdrowie i kondycja, a na poprawę samopoczucia nieodzowna, jak zwykle „Beherovka”.

Mila R.